

Trzeba więcej dyskusyj

Poniżej drukujemy fragmenty wypowiedzi JERZEGO PUTRAMENTA na temat też przedziadkowych uchwałonych na IX Plenum KC PZPR. Wypowiedź ukazała się na łamach „Trybuny Ludu”.

można zanotować w twórczości kulturalnej. Wśród przyczyn natury organizacyjnej wymienić należy brak racjonalnego systemu pomagania twórcom, zwłaszcza początkującym (sprawa funduszu literackiego). Podstawowe znaczenie mają jednak braki natury ideologicznej. Pierwszą ideologiczną przyczyną niedociągnięć i słabości naszej twórczości artystycznej jest tzw. teoria bezkonfliktowości. Zdałoby się, że u nas w obliczu zażartej walki klasowej, nie do pomyślenia będą dzieła sielankowe, cukierkowe, lakierujące naszą rzeczywistość. A tymczasem i w dramacie i w filmie i w powieści dzieła takie powstawały, były reklamowane przez krótkowzrocznych krytyków, ba, były przedstawiane do nagrody.

Takie „optymistyczne” zakłamywanie naszej rzeczywistości odpycha widza lub czytelnika od dzieła o tematyce współczesnej i wyrządza niedźwiedzią przysługę rodzącemu się realizmowi socjalistycznemu. Pisarze niebezpieczeństwo to uświadamiali sobie dość dawno. Szusnie walczyć z taką cukierkowością niektórzy z nich zdążyli nawet wpaść w inną skrajność: w dobieranie postaci i zjawisk szczególnie brzydkich, niemiliwych, odpychających. Rzecz prosta i to jest zjawiskiem niezdrowym, niepożądanym.

Trzecią formą przenikania do nas owej „teorii” jest scholastyczne przeciwstawianie konfliktu antagonizmów — nieantagonizmów. Są przy tym u nas tacy, którzy chcieliby, by artyści nie zagłębiał się w konflikt nieantagonistyczny, mówiąc po prostu — nie krytykował naszych własnych słabości — bo zna przecież obiekt ważniejszy dla swej pasji demaskatorskiej — wroga klasowego.

Wszystkie trzy te formy — i niedostrzeganie walki klasowej i babrzenie się w naszych niedociągnięciach i na odwrót: lek przed krytyką własnych słabości — są objawem tego samego — biurokratycznego, gabinetowego stosunku do twórczości ze strony samego pisarza czy krytyka, są dowodem słabej znajomości przez nich naszego życia.

Najlepszym lekarstwem przeciw wszelkim przejawom „teorii bezkonfliktowości” jest nieustanne przypomnienie sobie naczelnej dewizy sztuki realistycznej: trzeba pisać prawdę. Kłamstwo, choćby popełnione w imię celów najbardziej szczytnych, jest zawsze śmiercią sztuki. Niejedno z naszych dzieł sztuki umarło wskutek kłamstwa. Epoka nasza jest epoką walki, kto zamiast walki widzi nieporozumienie — ten kłamie. Kłamię także ten, kto prawdę naszego życia widzi jedynie w rubryce skarg i żądań, kto nie umie pokazać tej najbardziej olśniewającej prawdy naszych dni, jaką jest rodzenie się nowego człowieka, wyzwolenie z kapitalistycznych przymusów.

Z zagadnieniem bezkonfliktowości łączy się inna, niemniej ważna sprawa fałszywego przyjmowania „ilustracyjnej” roli sztuki.

Wychodząc z faktu, że sztuka realistyczna zawsze odzwierciedla swoją epokę (czasem niezależnie, a nawet wbrew woli twórcy ukazując istotny obraz tej epoki) niektórzy krytycy usiłują narzucić sztuce funkcję krótkoterminowej utilitarności. Znakomity dramaturg radziecki, autor sztuki „Lubow Jarowaja”, Treniew, wymyślał kiedyś takich „polityków”, którzy w okresie kampanii o rozwój form hodowli drobiu — domagali się dramatów na ten właśnie temat.

„Polityków” takich nie brak u nas. Nie rozumieją oni, że twórczość literacka wtedy tyl-

ko może oddziaływać na odbiorcę, gdy tematem jej będzie nie wynalazek, maszyna, posunięcie organizacyjne, czy nawet historyczne wydarzenie — tylko człowiek.

Dzieło sztuki działa długodystansowo. Pisarz może i powinien brać czynny udział w kampaniach, prowadzonych przez naszą partię i rząd — ale w takim wypadku poprzestajmy na publicystycznych, bardziej doraźnych formach jego udziału — artykułach, reportażach. Nie wymagajmy od niego na poczekaniu dzieł sztuki. Zdałoby się, że najcenniejszą cechą twórcy jest to, co go różni od ludzi innych zawodów — więc talent, więc najwęższy szczyt chybą składnik talentu — wyobraźnia. Tymczasem niejednemu z naszych krytyków, redaktorów, działaczy poczytna sobie z twórcami tak, jakby najważniejszą dla niego ich cechą było posłuszeństwo. Zamiast apelować do tej wyobraźni, zamiast w wyobraźni artysty szukać rozwiązań dla tego czy innego problemu — podsuwa się u nas czasem tak zwane „tematy” artyście i pozostawia się mu tak zwane „wykonawstwo”.

Podobno w pewnym związku twórczym tego rodzaju absurdalna metoda doprowadzona została do perfekcji. Skatalogowano tam pomoc wszystkie „dopuszczalne” tematy, w ilości siedemdziesięciu paru i zostawiono twórcę oszalałającą swobodę wybierania według tego katalogu.

Skutki nie kazały na siebie długo czekać — dziedzina sztuki, reprezentowana przez ten „katalogowy” związek jest u nas naprawdę na najniższym poziomie.

Myślę, że powinniśmy większy nacisk położyć na wychowywanie ideologiczne twórców, a mniejszy — na podsuwanie im „tematów”. Artysta-komunista nie tylko mechanicznie „odzwierciedla” naszą epokę, ma on także tej epoce coś nowego do powiedzenia. Ważne jest, abyśmy go wysłuchali — ważne, nawet jeśli mówi rzeczy niewesołe.

Problem fałszywej „ilustracyjnej” roli sztuki jest nieprosty. Nie jestem pewien, czy powyższych parę uwag słusznie go postawiło. Wiem natomiast, że problem ten jest bardzo ważny, że wcześniej czy później wypłynie on na szpalty naszej prasy.

Niezbędną dla rozwoju naszej sztuki jest należąca atmosfera dyskusji, atmosfera zasadniczej, ale zyciowej krytyki. Czy możemy twierdzić, że zawsze i wszędzie atmosfera taka u nas istnieje?

Są u nas tacy krytycy, dla których w dziedzinie sztuki nie ma spraw niejasnych. A tymczasem powiedzmy sobie wprost: w tych sprawach bardzo dużo jest niejasności. Jest i będzie. Zasady estetyki marksistowskiej — nie rozstrzygały wszystkich problemów sztuki, ustalają tylko ogólne wytyczne jej oceny.

Nie trudno jest rozszyfrować dzieło, wymierzone przeciw Polsce Ludowej i słuszną jest rzeczą, by nie ujrzało ono światła dziennego. Trudniej natomiast rozpoznać wszystkie formy i stopnie ideowo-artystycznej pożyteczności dzieła. Duży jest margines między niepublikowaniem twórczości wrogiej, a publikowaniem tylko twórczości „pożytecznej”. Pierwsza postawa jest słuszną. Druga jest szkodliwa.

Niezbędnym warunkiem rozwoju naszej twórczości artystycznej jest szersze stosowanie metody dyskusji przy ocenie dzieła — niż to czynimy obecnie. Nie ma bodaj dziedziny, gdzie osobiste i apodyktyczne widzi mi się jednostki w ocenie utworu było tak różne, jak właśnie w sztuce.

Tych parę uwag nie wyczerpuje oczywiście zagadnienia. Zagadnienie polega na rosnącej dysproporcji między kulturalnymi potrzebami mas a naszą produkcją artystyczną.

Pierwszym warunkiem, aby tę dysproporcję usunąć, jest wyjść z błogostanu, w którym przebywa niejedna nasza twórcza, krytyk i działacz. Zainteresować się stanem naszej sztuki, dyskutować jego przyczyny, przejmować się tą sprawą, kląć się a nie czekać, aż po zbudowaniu komunizmu rozstrzygną to wszystko przyszłe — mądrzejsze pokolenia.

JERZY PUTRAMENT

O buncie chłopów wielkopolskich w okresie powstania Chmielnickiego

Polscy historycy burżuazyjni dla celów politycznych urabiali w społeczeństwie przekonanie, że powstania chłopskie w feudalnej Rzeczypospolitej wybuchały tylko „na kresach”, na ziemiach ukraińskich i białoruskich. Niewygodnie było mówić o ruchach chłopskich w Wielkopolsce w 1651 r. i dlatego nauka burżuazyjna prawie zupełnie je ignorowała. Odmienne światło na przemilczane lub pomniejszane powstania chłopskie rzuca znakomity historyk radziecki G. Miller, który ten temat omawia na łamach czasopisma „Uczonyje Zapiski Instytutu Słowianowiedzenia”.

Badanie przygotował Chmielnickiego do kampanii 1651 roku pozwala wysunąć wniosek, że usiłował on stworzyć szeroką koalicję przeciwko magnatom polskim. Prowadził rokowania z Rosją, Krymem, Turcją i hospodarami mołdawskim i wołowskim, z księciem transylwańskim, a może nawet ze Szwecją. Równocześnie rozesłał emisariuszy po całej Rzeczypospolitej.

A był to przecież okres, gdy szlachta i wyżsi duchowni posiadający ogromne obszary ziemi przykrecały śruby pańszczyzny. O materiał palny nie było trudno. Wystarczyłoby rodmuchać zarzewie, by zapłonęły magnackie pałace. Stąd zamierzenie Chmielnickiego pomocy w wywołaniu powstania chłopskiego na tyłach wojsk magnackich było zupełnie realne — czego dowodzi przykład powstania Kostki Napierskiego oraz innych ośrodków buntu przeciwko wszechwładzy szlacheckiej.

Prof. G. Miller oparł się w swoich wywodach na pamiętniku współczesnego Chmielnickiego — Stanisława Oświecimia z 1651 r. oraz sprawozdaniach nuncjusza papieskiego de Torres i Vimina — księdza z otoczenia nuncjusza papieskiego. Kronikarz polski owego okresu Jan Wł. Rudawski wspomina tylko pokrótce o powstaniu wielkopolskim. Skape źródła na temat powstania w Wielkopolsce dostarczają jedynie materiału dotyczącego przygotowania powstania i jego początków.

Zeznania szlachcica Kułakowskiego

Najbardziej szczegółowy opis organizacji i organizatorów powstania znajdujemy w liście surrogatora wikariusza Twardowskiego do biskupa poznańskiego Kazimierza Fl. Czartoryskiego z Kalisza z dnia 4 czerwca. List przytacza zeznania szlachcica Kułakowskiego, który brał udział w organizowaniu powstania. Kułakowski zeznał, że organizacją kierował niejaki Grzybowski, który pod swą władzą miał 80 emisariuszy, choć w rzeczywistości było ich sześćciu.

Szczegółowe i uzasadnione wyniki tego śledztwa zasługują niewątpliwie na większe zaufanie niż dane z innych źródeł. Rudawski widocznie słyszał tylko o tym powstaniu.

Mniemanie Viminy i Torresa, że agitatorzy byli to prawosławni szlachcice ruscy, różni się wyraźnie od zeznań Kułakowskiego. Sam Kułakowski jest Polakiem: Polakami są też niewątpliwie wymienieni przez niego Ostrołęcki i Piasecki. Trudniej jest określić narodowość Grzybowskiego i Ostrowskich: mogą oni być i Polakami i Rusinami (to jest Ukraińcami). W każdym razie list wikariusza Twardowskiego, w którym zawarte są te dane, nie wygasza nigdzie przypuszczenia na temat niepolskiej narodowości tych agitatorów.

Sam fakt, że wśród organizatorów powstania chłopskiego widzimy szlachciców, nie wywołuje zdziwienia: na czele powstania podhalańskiego w 1651 roku stał także szlachcic Napierski. Byli to przedstawiciele tak zwanej „gołoty” — tej warstwy stanu szlacheckiego, która zachowała jedynie prawny związek ze swym uprzywilejowanym stanem, pod względem zaś gospodarczym i politycznym znalazła się poza panującą klasą feudalną.

Jest rzeczą zrozumiałą, że ci „chwilowi sprzymierzeńcy” spośród szlachty mieli własne cele, całkiem różne od tych, do których dążył lud ukraiński czy chłop polski. Byli to jedynie czasowi sprzymierzeńcy ruchów ludowych.

Brało udział 2 tysiące ludzi

Agitatorzy pojawili się dość wcześnie w Wielkopolsce. Ku-

łakowski, opowiadając o sobie, mówi, że po pokoju zborowskiemu służył panu Hejskiemu w chorągwi Butlera, która stała w Ostrzeszowie. Tu zachorował i odłączył się od chorągwi, która opuściła Ostrzeszów w początkach 1651 roku. Tam też poznał się z Grzybowskim i przed karnawałem przybył już z nim do Poznania. Grzybowski miał pismo od polskich hetmanów koronnych świadczące o tym, że był w niewoli u Tatarów i zbiera okup dla siebie. Kułakowski uważa, że pisma te były sfałszowane, ponieważ Grzybowski nie pokazywał ich w domach i majątkach szlacheckich, lecz tylko tam, gdzie nie było panów. Po przybyciu do Poznania zatrzymali się przy rynku, w domu niejakiego Jakuba Kołodzieja, gdzie zebrali się wkrótce i inni agitatorzy. Tutaj obiecując bogate łupy (praedam optimam) Grzybowski zwerbował Kułakowskiego do swego oddziału. Kułakowski zobowiązał się pod przysięgą być mu wiernym, nie wydawać nikogo z agitatorów oraz gorliwie pomagać im w pracy.

Bazą powstania były wsie: Ciążeń, Łąd, Łądek, Jaroszyn, Kowalówek i Wola. Już

(Ciąg dalszy na str. 2)

Maroko — kraj 200 lekarzy i 14 000 policjantów

Przed blisko 50 laty nazwa Maroka ukazała się po raz pierwszy na czołowych szpaltach europejskich dzienników. Imperializm cesarskich Niemiec w poszukiwaniu zamorskich zdobyczy, stał się tu z wyciągającym już od dawna po Maroko swe macki imperializmem francuskim. Pojawienie się w porcie Agadir cesarskiej kanonierki „Panther” miało być ostrzeżeniem dla tych, którzy by chcieli lekceważyć apetyty imperialistycznych Niemiec. — Zdałoby się, że wojna imperializmów wisi w powietrzu. Faktycznie pogoza wojenna rozszalała nad Europą dopiero w kilka lat później, a w Maroku, przy politycznym poparciu Anglii, usadowiły się kolonizatory francuscy, dobierając sobie w charakterze przyzwolonej ówczesną monarchię hiszpańską, której „oddano pod opiekę” skrawek marokańskiego wybrzeża naprzeciw cieśniny gibraltarskiej.

Francja, która nominalnie sprawuje nad Marokiem tylko „protektorat”, w rzeczywistości posiada tam pełnię władzy. Rezydent generalny Francji, którym z reguły zostaje szczególnie zasłużony w wojnach kolonialnych generał — stupajka, wyznacza kandydatów na kaidów (naczelników plemion) i paszów (naczelników okręgów). Tak zwana „rada marokańska” składa się z 3 Francuzów i 3 kolaborantów, desygnowanych przez rezydenta. Polityczna rola sultana sprowadza się do podpisywania nominacji i dekretów.

Luksusowe dzielnice i miasta-blaszanki

Od czasu ustanowienia „protektoratu” wiele się w Maroku



Patrol policji francuskiej rewiduje przechodniów Casablanki

zmieniło. Bogate złoża kobaltu, manganu, fosforu, ołowiu i węgla przyniosły kapitalistom ogromne zyski. Na nadbrzeżnej równinie — mesecie — wyrosły plantacje oliwek, cytryn i winorośli, przecinane cementowanymi kanałami, rozprowadzającymi wodę ze studni artezyjskich, chronione przed palącymi wiatrami Sahary podwójnymi żywopłotami. W Casablance, Rabacie i innych miastach usadowiło się sporo burżuazji francuskiej. Obok średnio-wiecznych „medinas”, mułmańskich dzielnic rzemieślników i bazarów, powstały pełne wszelakiego komfortu luksusowe dzielnice europejskich bankierów, przemysłowców i kupców.

Jakżeż odbiły się te kapitalistyczne przemiany na losach 7,5-milionowej mułmańskiej ludności tego kraju?

Uzasadnieniem „protektoratu” nad Marokiem miała być „misja cywilizacyjna” w tym kraju. Co pod tym rozumieją kolonizatorzy, świadczy najlepiej zestawienie dwóch cyfr: lekarzy rządowych jest w Maroku 200, policjantów (bez Legii Cudzoziemskiej i wojska) 14 000.

Przed utworzeniem „protektoratu” Marokańczycy czerpali środki utrzymania z rolnictwa, pasterstwa, rzemiosła i handlu. Obecnie grupy finansowe zlikwidowały te dawne formy życia. Spośród chłopów marokańskich — fellachów — półtora miliona zostało w ogóle pozbawionych ziemi drogą prawnie

dekretowanej grabieży. Pracują dziś oni w niewolniczych warunkach na plantacjach francuskich kapitalistów. Pozostała część ludności chłopskiej żyje na okrojonych działkach w skrajnej nędzy. Często jedynym narzędziem rolniczym jest wyostzona pałka, a jedynym urządzeniem nuali — sklecone z gałęzi i chrustu chaty fellacha — jest parę mat i kilka glinianych garnków.

Wyzysk — niesłychanie wszechstronny

Marokańscy chłopcy są przedmiotem wielostronnego wyzysku. Za pszenicę i jęczmień otrzymują ceny znacznie niższe od cen, płaconych plantatorom francuskim. Oszukują ich i wyzyskują handlarze, oszukuje i wyzyskuje administracja kolonialna. Kaidzi nie otrzymują żadnych pensji, ale ich wynagrodzeniem jest nadwyżka ponad wyznaczony kontyngent podatku, którą zdołają wydusić od fellachów.

Tradycyjne źródło utrzymania ludności miejskiej Maroka, rzemiosło, w związku z wpływem francuskiej, a obecnie



amerykańskiej tandety, uległo zamikowi. Natomiast rośnie proletariariat przemysłowy. W roku 1952 prawie 25 proc. mułmańskiej ludności Maroka mieszkało już w miastach i osadach górniczych. Ta robotnicza ludność gnieździ się w nieprawdopodobnych norach, sklepionych ze starych beczek, kawałków blachy, trzciny itp. Te tak zwane „bidonville” miasteczka blaszanki tworzą całe dzielnice. W samej Casablance jest 5 takich dzielnic a mieszka w nich 360 tysięcy marokańskich rodzin robotniczych.

Robotnik marokański nie ma żadnych praw socjalnych, nie wolno mu należeć do związku zawodowego, jego płaca jest kilkakrotnie niższa od płacy robotnika francuskiego.

Mimo jednak zakazu należania do związków zawodowych, Marokańczycy przy pomocy ro-

(Ciąg dalszy na str. 2)



Na zdjęciu — reprodukcja szkicu obrazującego wegetację rodziny marokańskiej, zamieszczona w postępowym tygodniku francuskim „Regards”

Słoneczne piece produkuja lód

Czytelnicy przypominają sobie zapewne radziecką komedię filmową pt. „Wiosna”. Jedną z głównych postaci filmu była Anna Nikitina — profesor katedry energii słonecznej. Komedia była pełna humoru i dowcipu, ale nie wszystko w tym filmie było fantazją autora.

Przy Energetycznym Instytucie Akademii Nauk ZSRR rzeczywiście istnieje laboratorium heliotechniczne („helios” — po grecku „słońce”), które opracowuje metody użytkowania energii słonecznej do celów gospodarczych.

Aby problem użytkowania energii słonecznej nie wydał się komuś nieprawdopodobny, przytoczymy kilka liczb:

Żużycie światowej węgla, ropy naftowej, torfu i innych paliw wyniosło w roku 1940 około 1 800 000 000 ton. Spalając węgiel, naftę czy też torf, ludzkość traci cenny surowiec, owe „konserwy energii słonecznej”, które gromadziły się w ziemi w ciągu milionów lat.

Tymczasem pustynie, znajdujące się tylko na terenie Związku Radzieckiego, o łącznej powierzchni 800 tys. km², mogą dać 50-krotnie większą ilość energii od tej, którą otrzymujemy podczas spalania paliwa wydobywanego na całej powierzchni kuli ziemskiej.

Ale jak zbierać i użytkować energię promieni słonecznych?

Napotykamy tutaj na dwie zasadnicze trudności: pierwszą, że mała stosunkowo w pobliżu ziemi gęstość promieni słonecznych, druga — to różnorodność natężenia promieniowania w różnych porach roku.

Z pierwszą trudnością uczymy się radzić, „zageszczając” strumień promieni słonecznych np. za pomocą systemu wklęsłych zwierciadeł, z drugą — rzecz na razie, ma się gorzej. Z konieczności próby wypracowania energii słonecznej w służbę ludzkości prowadzone są w okręgach o dużym nasłonecznieniu. I tak np.

w południowych okręgach Związku Radzieckiego zbudowano już około dwustu urządzeń obsługujących narby, lasy, pralnie i budynki mieszkalne. Skonstruowano nawet „piecyk słoneczny”. Na tego rodzaju urządzeniu można ugotować obiad dla pięciosobowej rodziny.

Wydajność takiego piecyka wynosi 5 litrów wrzątku na godzinę, tzn. że „moc” jego odpowiada 600-watowej płytce elektrycznej.

„Piece słoneczne” można zastosować do zaopatrywania w energię zakładów przemysłowych, szczególnie takich, które mogą pracować okresowo (z przerwami). Opracowano np. projekt fabryki... lodu, w której maszyny będą poruszały parą uzyskaną z energii słonecznej.

Wszystko co było wyżej powiedziane dotyczyło prób użytkowania energii słonecznej w południowych okręgach ZSRR.

Czy w Polsce, która jak wiadomo leży w klimacie umiarkowanym, użytkowanie energii słonecznej jest możliwe? W laboratorium heliotechnicznym prowadzone są próby przekształcania energii promieniowania w energię elektryczną za pomocą komórek fotoelektrycznych.

Próby dały wyniki pomyślne, ale koszt urządzeń był niewspółmierny z ich wydajnością. Wsuwanie wniosków o nieopłacalności tego rodzaju urządzeń byłoby przedwczesne, należy bowiem pamiętać, że heliotechnika jest gałęzią nauki, która zaczęła rozwijać się bardzo niedawno.

Zasadniczo więc możliwe jest, że kiedyś z satysfakcją będziemy jedli obiad ugotowany na „słonecznym piecyku”, a na deser — lody zamrożone w „słonecznej lodówce”.

Grab



Podczas masowej pielgrzymki Hindusów w Alahabie — Odzie u zbiegu rzek Ganges i Dżumny wydarzyła się straszliwa katastrofa.

W uroczystościach religijnych, odbywających się co roku w zbiegu tych dwóch rzek, brało udział 3 miliony pielgrzymów.

O świcie 20.000 kapłanów jadących na słońcu zbliżyło się ku rzece, by skorzystać z przysługującego im prawa pierwszeństwa kąpieli w „świętej rzece”. Gdy tłum pielgrzymów ruszył, za nimi wytworzył się tłum. Przerazone słońce strącały wielu ludzi. 3.000 osób poniosło ciężkie obrażenia.

AUKSYNA-hormon każdej rośliny

Inż. Maciej Rembowski

Podobnie jak u ludzi i zwierząt — również i organizm roślinny pozostaje pod wpływem niesłychanie czynnych związków chemicznych zwanych hormonami. Powstają one w stożkach wzrostu pędu nadziemnego, a rozprzeczane po całym organizmie regulują różne funkcje fizjologiczne rośliny. Otwieranie się paczków liściowych i kwiatowych, wzrost łodyg i korzeni, rośnięcie korzeni w dół, łodyg w górę, wyginanie się kwiatu lub liścia w kierunku światła, rozwój owoców — są to wszystkie zjawiska odbywające się ściśle na skutek działania hormonów.

Od hormonów zwierzęcych różnią się hormony roślinne daleko większą wszechstronnością oraz aktywnością. W przeciwieństwie bowiem do światła zwierzęcego w świecie roślinnym jeden związek chemiczny reguluje bardzo wiele funkcji, a 1/50 000 000 części miligramu (!!) auksyny powoduje już u jednej rośliny wygięcie pochwki liściowej. Te niesłychanie aktywne hormony spróbujemy przedstawić obrazowo:

1 miligram na 11 ha

Do obsiania 11 ha pola owsem potrzeba go 2 tony co mniej więcej odpowiada 50 000 000 ziaren. Otóż w owych 50 000 000 ziaren rosnących na 11 ha wywołuje wyraźne pochylenie zaledwie 1 miligram auksyny. Stężenie zaś auksyny jest nie mniej imponujące. Już bowiem 0,0001 miligramu działającego na 1 kg masy roślinnej przyspiesza jej wzrost. Stosunek zatem masy hormonu do masy rośliny wynosi 1:10 000 000 000.

Tak więc 1 gram auksyny przyspieszy wzrost 10 000 ton masy roślinnej, co równa się 2 pociągów towarowych.

O tym, że rośliny wytwarzają pewne substancje chemiczne powodujące wyginanie się pochwki liściowej oraz przyspieszając wzrost — wiadomo od dawna. Z czasem przekonano się, że związki te wytwarzane są w wierzchołku pochwki liściowej, skąd spływają do reszty organizmu.

Owe związki czyli hormony zostały jednak konkretnie uchwycione dopiero w roku 1927 przez uczonego holenderskiego Wenta, który uchwycił hormony na kostkę agarową z uciętego wierzchołka pochwki liściowej owsa. Niestety jednak ilość zlożonego hormonu była tak nikła, że jego chemiczna analiza nie mogła dać wyników.

Auksyna przyczyna wzrostu rośliny

Wyodrębienie hormonu nazwanego auksyną oraz wyjaśnienie jego składu chemicznego nastąpiło w latach 30-tych w wyniku żmudnych i skomplikowanych badań dokonanych przez Kögl i jego współpracowników. Okazało się, że auksyna jest po prostu kwasem organicznym składającym się z trzech pierwiastków: węgla, wodoru i tlenu.

Auksynę wyodrębnił Kögel z moczku, a następnie ze słoju i kukurydzy. W dalszych badaniach chemicznych ustalono jeszcze szereg związków chemicznych przyspieszających wzrost rośliny, które dzisiaj otrzymujemy jako środki sztuczne, drogą syntezy chemicznej, stosując je w hodowli roślin w sadownictwie i warzywnictwie.

Auksyna, którą światło może przesuwac, gromadzi

się w większej ilości na dolnej stronie wierzchołka, przenikając stamtąd do komórek warstw niższych. Komórki te pod wpływem auksyny wydłużają się szybciej niż komórki górne, zawierające mniej auksyny. Na skutek nierównego wzrostu komórek, pęd rośliny nadziemny wygina się w górę.

...a czasem zagłębia się w ziemi

Gdy jednak doprowadzimy sztucznie więcej substancji wzrostowej do górnej części pędu, to pęd taki zmusimy do wyginania się w dół. Przy większej koncentracji auksyny zamiast przyspieszać — hamuje rozwój komórek. Zjawisko to ma miejsce w pedach podziemnych — bardziej wrażliwych na działanie auksyny, a otrzymujących jej więcej. W tym wypadku auksyna spływając do dolnej strony korzenia hamuje jego wzrost i powoduje wygięcie w dół.

Niezależnie od tego większe stężenie auksyny powoduje szybsze dzielenie się komórek i powstawanie korzeni przybyszowych, które przy odpowiednich zabiegach wywołac możemy na łodydze drzew czy nawet liściach.

Odwiedzamy pracownię naukowe

Pióra nie będą się łamać • Inkubator pod obserwacją • Uwaga: nie latać! • Mazurskie-białe-czarnookie • Bobrzyki hodujemy bez wody? • Piękne perspektywy i jedno „ale”

— Proszę o podręcznik „Zwierzęta futerkowe” profesora Szumana.

— Niestety — informuje księgarz młodą kobietę w studenckiej czapce. — Wyczerpane.

— A może otrzymam „Drobiazstwo” tego samego autora?

— Nie mamy również. Może pani jeszcze spróbuje spytać w księgarni rolniczej przy ulicy Paderewskiego 6...

Czy będziemy dalej towarzyszyli studentce WSR w jej wędrówce po księgarniach? Cóż, moglibyśmy się przekonać, czy i gdzie otrzymała w końcu poszukiwane książki, ale... Mamy dla was inną propozycję: rozmowę z autorem podręczników, dr. Jerzym Szumanem, profesorem Wyższej Szkoły Rolniczej. A więc...

W dużym, jasnym budynku opodal ulicy Wojska Polskiego odnajdujemy drzwi oznaczone niewielką tabliczką: Zakład Hodowli Drobiu i Zwierząt Futerkowych. To tu. Trafiamy dobrze, profesor ma właśnie chwilę wolnego czasu.

— Piękny zakład... — rzucamy ogólnikowe stwierdzenie, starając się nie sugerować profesorowi kierunku rozmowy.

— To prawda. Marzyłem o nim przed laty. Marzyłem i chyba nigdy nie powstałby, żeby nie władza ludowa. Ci z przedwzrostowego ministerstwa zupełnie ignorowali sprawę hodowli drobnego inwentarza, dla rozwinięcia której mamy w Wielkopolsce wszelkie warunki. Obecnie odrabiamy zaniebania, opracowujemy szereg zagadnień...

— Mianowicie?

— A więc na przykład doświadczenie nad tuczeniem gąsiorów w okresie zimowym, kiedy utuczenie, ze względu na okres rui, było uważane dotychczas za niemożliwe.

Dalej pracujemy nad znalezieniem przyczyn niszczenia niektórych wartościowych rodzajów piór skrzydłowych u gęsi poddanych tuczeniu. To na pozór błahe zagadnienie wymaga żmudnych badań, wynikiem których będzie ustalenie metody zapobiegającej niszczeniu piór. Nie wiem, czy wiecie o tym: otóż niektóre pióra skrzydłowe zakupywane są bardzo chętnie przez zagranicę do gier i ozdób, co przysparza gospodarce wiele dewiz.

— Dobiegły nas słuchy, że Zakład pana profesora dopomógł debiście wylegarni w usunięciu pewnych kłopotów?

— Aaaa, to drobna sprawa: w ubiegłym roku we wzorowym tym zakładzie wylęgowym miano wypróbować prototyp nowego inkubatora do wylęgu jaj kaczych. Aparat nie dawał zadowalających rezultatów. Przy pomocy tak zwanej analizy biologicznej, to jest badania nie wykłutych jaj i zarodków moglibyśmy wykazać przyczynę obumierania jaj, co wskaze drogę do poprawek konstrukcyjnych aparatu. Skoro

już mówimy o tym, chciałem na pomknąć, że staramy się w maksymalnym stopniu wiązać nasze prace z potrzebami praktyki. Dalszym przykładem na poparcie tego są nasze doświadczenia nad pozabawieniem kur leghornów zdolności przetywania ogrodzeń. Pracujemy nad tym w fermie drobiarskiej Racot. Przy pomocy amputacji palców skrzydeł u 24 godzinnych piskląt, uzyskaliśmy pełny rezultat, przy czym nie wzrosła ani śmiertelność kurcząt, ani nie ucierpiała nosność kur.

— Są to rzeczy nader ciekawe. Czy zechciałby pan profesor powiedzieć kilka słów, które szczególnie zainteresowałyby hodowców królików?

— Mazurskie-białe-czarnookie.

— ...???

— Nowa rasa królików. Wyhodowaliśmy je w zespole IGR Przykop, województwo olsztyńskie, dokąd systematycznie dojeżdżałem. Białe króliki są najbardziej poszukiwane przez nasz przemysł futrzarski i filcowy. Jednak króliki białe-czerwone (albino) są bardziej wrażliwe, szczególnie na silne światło dzienne oraz mają tłuszcz żółty, a nie biały, ceniony przez kraje importujące mięso królicze. U królików mazurskich futro jest białe i tłuszcz biały, nadwrażliwość na światło nie występuje. W porozumieniu z Instytutem Zootechniki będziemy przez ciąg trzech lat prowadzili dalsze prace nad doskonaleniem tej rasy.

— A — przyszłość?

— Prace nad uproszczeniem i potanieniem pomieszczeń dla zwierząt futerkowych. Mam tu między innymi na myśli zagrodę dla bobrzyków... bez wody. W ten sposób istniejące wśród ludności naszego województwa zamilowanie do hodowli tych cennych grzyzoni mogłoby rozpowсюchnąć się jeszcze bardziej, stając się źródłem dodatkowych dochodów. Jednocześnie będziemy pracowali nad opóźnieniem jesiennej przerwy w nosności kur przy pomocy regulacji (ograniczenia) dostępu światła do kurnika. No i — stała, rozwijająca się współpraca ze spółdzielniami produkcyjnymi i PGR-ami.

— Aha, Turystowo...

— Przede wszystkim Kleskowo, Wiatrowo, Lulin, Ostrówki i Roszkowo. Turystowo! Tyle roboty na nic: opracowaliśmy w porozumieniu z zarządem spółdzielni w najdrobniejszych szczegółach plan pracy fermy kaczej na cztery lata. A oni jednym posunięciem — nie, posłaniem na kurs pracowników — podstawili sobie sami nogę. Lepiej układa się współpraca z państwowymi gospodarstwami rolnymi: Racot, Kromolice, Wituchowo, Czarnuszki (fermy drobiowe), Czarnotki (króliki), jak również z ośrodkami posiadającymi fermy nutrii.

— Perspektywy rozwojowe są więc piękne.

— Niewątpliwie, lecz...

— Jest jakieś „ale”?

— Największa bolączka, to brak własnych pomieszczeń dla drobiu i zwierząt futerkowych. Jednak Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego zaplanowało utworzenie przy naszej uczelni doświadczalni - dydaktycznej fermy nutrii oraz ptactwa wodnego. Fermy mają być gotowe do przyjęcia zwierząt już w jesieni przyszłego roku.

— To dobra wiadomość. A teraz dziewięte i naprawdę przedostatnie pytanie, profesorze: co ma zrobić osoba, bezskutecznie szukająca w księgarniach pańskich „Zwierząt futerkowych”?

— Musi poczekać na następny nakład, ale chyba nie długo. Wydawnictwo zawiadomiło nas bowiem, że w związku z wytycznymi IX Plenum oraz uchwałą Prezydium Rządu przystąpiono do natychmiastowego wydania uzupełnionego nakładu „Zwierząt futerkowych”. Na koniec mogę powiedzieć, że w najbliższym czasie ukaże się podręcznik opracowany wspólnie z profesorem Folewskim pod tytułem „Hodowla kóz”.

— Nie omieszkamy kupić. Dziękujemy za rozmowę i — do widzenia!

Rozmawiał: PIOTR ZYCKI

Radzimy sobie wzajemnie

DROGIE CZYTELNICZKI!

Tym razem nie będę tak gadatliwa i z miejsc oddaję Wam głos. W sprawie krzyżacek może nadeszła do Redakcji kilkanaście listów. Wybraliśmy najciekawsze i najdowcipniejsze.

P. Stanisława z Ostrowa pisze m. in.: „Z krzyżaczką mężem trzeba postępować pedagogicznie. — Hehe, króć krzyżaczki — wykład o niestosowności i szkodliwości krzyżu w małżeńskim życiu. Po wykładzie dyskusja. Po dyskusji uchwała, zaczynająca się od słów: Już nigdy więcej nie będę krzyżaczka na swojej żonie...”

P. Jadwiga Jensz (Poznań, ul. Kościuszki nr 2/3) radzi Izie K. nie odpowiadać na krzyki męża i ze stoickim spokojem robić swoje. Sztuka polega na tym, kto dłużej wytrzyma. Nie lada to wyczyn dla kobiety zwyciężyć milczeniem, ale metoda ta może dać bardzo dobre wyniki.

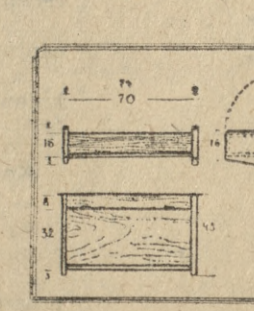
A oto krótka rada P. Aliny M. z Poznania: „Przeznacz. Potem, gdy umilknie, samej krzyżać tak długo — póki nie załamie się psychicznie. Wtedy powiedz: A widzisz, jak to przyjemnie. — Będiesz jeszcze krzyżaczka?”

Innymi słowy — klin klinem. Mam jednak wątpliwość czy ten sy

stem da rzeczywiście pozytywny rezultat. — Bo z tym załamaniem psychicznym różnie bywa...

Ciepło i serdecznie pisze P. B. J. — Poznań w odpowiedzi p. Izie K.:

„Zali się Pani, że maż na nią krzyżaczki. — Niewątpliwie ten sposób współżycia z kochanym człowiekiem nie należy do najprzyjemniejszych... Wyda mi się, że każda z nas ma też jakieś nieprzyjemne wady, z których może nie zdajemy sobie sprawy i o których może nam nie mówić. Czy nie jest więc rzeczą rozsądną na krzyżaczka, jak na bardzo hałaśliwą zabawkę — machnąć ręką, gdy chodzi o rzeczy mało ważne, czasem popłakać w kąciku, a w momencie dobrego humoru przytulić się do krzyżuski i powiedzieć mu, że to brzydko, że przykro i że w ogóle „fe”?”



humoru przytulić się do krzyżuski i powiedzieć mu, że to brzydko, że przykro i że w ogóle „fe”?”

Kończąc list, p. B. J. radzi krzyżaczce przy złości przycisnąć przycisk „Panne z mokra głową” — Makuśzyskiego. — „Ona też wrzeszczała w niebogłosy wtedy, gdy to się opalało. Niech maż Pani — pisze B. J. — zrozumie, że to się nie opalać”.

Droga B. J. na wszystko zgoda, za wyjątkiem tego plakanie w kąciku. Ma Pani dobre i czułe serce. War to przemyśleć ten list i zawarte w nim rady p. Izo.

Cześć czytelniczek podeszła bardziej rygorystycznie do zagadnienia i proponuje zastosowanie sankcji karnych — „Trzy dni bez obiadu”, „48 godzin absolutnego milczenia”, „Wyjechać do ciotki na tydzień”, „Skrytykować w prasie” itp.

Wreszcie p. Jadwiga S. (Gniezno) proponuje, aby na krzyżaczce meza oddziaływał przy pomocy propagandy

wzrokowej — wywieść w sypialni, kuchni, stolowym, łazience słowniki. Np. „Krzyżaczka w domu maż — męczy wszystkich włącz”, albo „Jerzyku! Mam dość Twojego krzyku!” Bądź też prozą, urzędowo: „Uprasza się nie palić! nie śmieć! NIE KRZYCZEC!”

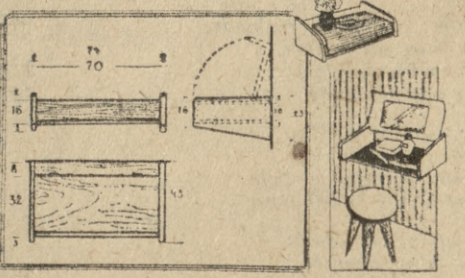
Bez wątpienia dobry humor jest często najlepszym lekarstwem na tego rodzaju „dolegliwości” — kto wie czy umiejętnie podany nie uzdrowiłby pacjenta.

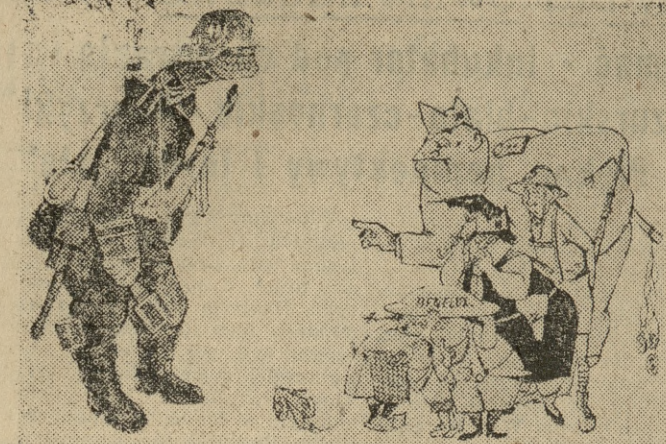
Uwaga! Czytelniczka podpisująca się SOS. Poruszony problem jest trudny i obszerny. Sprawa nie mieści się w ramach działu „Radzimy sobie wzajemnie”. Postaramy się to zagadnienie omówić w jednym z najbliższych numerów. Za szczyry list b. dziękujemy.

Łączę pozdrowienia JULIA SEWERYNA

P. S. Załączam rysunek gablotki, wykonanie której należy powierzyć dobremu męzowi lub — krzyżaczce, by ochłonił!

Uwaga! p. B. J. Poznań: — Prosimy o podanie adresu w celu przesłania nagrody książkowej. — I jeszcze coś. — Aniela M. z ul. Słowackiego w Poznaniu zapytuje, jak się czuje welwet. Podobno jednym z domowych sposobów jest kapusta. Są na pewno lepsze. Prosimy o pomoc. J. S.





ZABAWA W EVG

... a więc drogie dzieci, na pytanie: „Kto się boi czarnego luda” — odpowiedź razem głośno — „Nikt!”

Zygmunt Ja-ki

Skomplikowany problem

— Obywatel Tyrakowski, prawda? Jestem korespondentką prasową. Chciałabym dać do gazety sylwetkę opornego bogacza wiejskiego, który notorycznie zalega z odstawami, wyzyskuje siłę najemną, dokonuje machinacji ziemniaczej, celem oszukania państwa, słowem szukam — kuliaka.

— Ale dlaczego akurat u nas?

— Bo nasz powiat spóźniał się z odstawami. Trzeba zacząć źródła. Byłam w wydziale rolnym PRN i wskazano mi pana.

— No owszem, znam stonsunkę wiejską, chociaż jestem urzędnikiem. Sam mieszkam na wsi w Fablanowie i dojeżdżam tutaj do Ostrowa do biura, ale przyznaję się, że nie takiego, w naszej okolicy, bo ja wiem, żeby i wyzysk i machlojki i zaległości? W ogóle nie widziałem takich kuliaków, jak wy ich tam rysujecie po gazetach, grubych, w butach, na workach ze zbożem, he he! Jasne, że bywają gospodarze biedniejsi i bogatsi, jak zawsze i wszędzie, ale takiego złośliwego kuliaka nie potrafisz pani u nas wskazać.

— A przecież są. Małorolnicy odstawiają 100 procent planu.

— Phi, im łatwo. Na rower wezmą woreczek i po odstawie. Ale jak się tak ma kawał ziemi... To nie takie proste. Skomplikowany problem. Oglądam to co dzień własnymi oczami, mieszkam przecież na wsi.

— Niewygodnie tak co dzień dojeżdżać. Czemu pan się nie przeniesie do miasta?

— Po co, na pokój z kuchnią? Pewnie, że niewygodnie dojeżdżać, ale za to mieszkam w swoim domku murywanym, pięć izb na trzy osoby. Przy domu ogród, szkoda zostawić.

— To i ziemię pan ma?

— Zaraz ziemię! Kawałek zaledwie. Trochę sadu, warzywnik, nieco pod kartofle i żyto — i po ziemi. Wszy skiego cztery hektary. Ale na swoje potrzeby wystarczy.

— Nie rozumiem jak pan sobie radzi. Przecież pana całymi dniami nie ma w domu?

— A właśnie, dwie prace trzeba wykonywać. Tu umysłowa, a tam na roli. Tak, tak, tak łatwo dziś. Tyle, że razem ze mną jest matka i zona.

— Acha i pomagają w pracy na roli.

— Pomagają nie pomagają, ale zawsze dopilnują. Same mają dość kłopotu ze swoimi kawałkami.

— One też mają ziemię?

— Po kawałeczku. Jedna sześć i druga sześć hektarów.

— Tak osobno? A nie lepiej złączyć w całość? Przecież jeżeli mieszkacie razem, to praktycznie biorąc...

— He he he, jak to od razu widać, że pani się nie orientuje w skomplikowanych zagadnieniach rolnych. Kto by tam łączył! Właśnie przed rokiem rozdzieliłem. Nie ma pani pojęcia jak to kłopot z 16 hektarami.

— Zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, jak pańska zona, a zwłaszcza matka, gospodaruje same.

— Pewnie, że łatwo nie jest. Komu dziś lekko? Ale

jakoś się radzi. Przychodzi co dzień rano taki jeden z naszej wsi, Pietrzykowski, bardzo porządny człowiek, pracowity. I matce pomoże i żonie i na moim kawałku zrobi co potrzeba. Dusza człowiek. A jak koło bydła chodzi! Po prostu pieści je. Nie wyjdzie z obory, dopóki wsty skich 10 sztuk nie oporządzi, choćby noc już była. Zamieszany hodowca!

— Ale jemu trzeba płacić!

— Iiii, nie tak znów wiele. Starszy już człowiek, potrzeb nie ma, zadowolony, że sobie podje. Ekonomia uczy, że o środki stara się ten, kto ma potrzeby, nieprawda? On by nawet nie umiał większej sumy wydać.

— Jeszcze tylko jedno mnie ciekawi. Czy pan odstawia zboże?

— A jakże! Jak pani może pytać o to. Jestem pracownikiem umysłowym, znam obowiązkowi obywatela!

— Odstawił pan w całości?

— Oczywiście.

— Razem z żoną i matką?

— Matka i żona co innego. One troszkę tam mają trudności, ale to co innego, wiadomo — kobiety. A rolnictwo, to zajęcie dla mężczyzn. Skomplikowany problem.

— Dużo one zalegały w zeszłym roku?

— Plany miały w sumie na trzy tony żyta, ale jakoś nie mogły wydołać więcej niż półtorej.

— Tak, teraz jestem już dobrze zorientowana, dlatego PRN wskazała mi właśnie pana... Dowidzenia.

— Najlepiej niech pani na piśmie, że u nas kuliaków, takich co to i machlojki i wyzysk i zaległości — to nie ma!

(Przytoczone nazwiska, nazwy miejscowości i fakty — są autentyczne).

Adam Ochocki

O czym rozmawiali drzewa...

(według „Krokodyla”)

Po cichym lesie szedłem raźnie,
Wtem fakt się zdarzył niebywały,
Bo usłyszałem najwyraźniej
Jak drzewa z sobą rozmawiały...

— Niedobrze z nami, moja droga...
Tak ocha się zwierzyła sośnie —
W fabryce mebli „Olaboga”
Postąpią z nami bezlitośnie...

Rozległ się smutny sopran jodły:
— Już lepszy koniec byłby jakiego,
Bo w tej fabryce zwyciężył podły,
Że wypuszczają tylko braki...

Potężny dąb rzekł tymi słowy:
— Wolalbym z pieca wyjść popiołem,
Niż według nazwy być debowym,
A w gruncie rzeczy „lipnym” stołem...

Tu wtrącił jesion: — Masz ci biedę,
Potem z pożaru wyszedł cudem,
By teraz zbili ze mnie kredens,
Co tylko psu się zda na budę...

Zaskalał brzoza: — Moi mili!...
Swojego losu żał mi najmnie,
Lecz żał nabywców krzesel w stylu:
„Tylko się popatrzy, nie tykać mnie”.

Zaszumił buk samokrytycznie:
— Wolę topora silny zamach,
Niż stać się szafą rachityczną
W jasnym kolorze, w ciemnych plamach...

Tak drzewa urodły swe rozmowy...
Któż nie pomyśli o nich z żalem?
To tylko w przedsiębiorstwie owym
Drzew nie żałują wcale, wcale...

Seweryn Chrzaszcz — dzieła zebrane — Tom II — Utwory autobiograficzne

J. Poznański

imieniu, wiersz został przyjęty do gazetki ściennej. Rano, przed rozpoczęciem urzędowania, wywieszono gazetkę. Autor fraszki ukrył się w korytarzu, aby posłuchać „głosów czytelników”.

Pierwszy przystanął przy gazetce dyrektor naczelny wraz z wicedyrektorem.



rys. F. Smiełowski

„Ale panu dojechał, kolego!” — powiedział z dobrodusznym współczuciem. Wicedyrektor przetarł okulary, przeczytał fraszkę i odpowiedział:

„To nie na mnie. Powiedziałbym na kogo, ale nie chcę zakłócać zgodnej współpracy pomiędzy nami.”

To powiedziałszy obaj panowie skinęli sobie chłodno głowami i rozeszli się do swoich pokoi.

Zbigniew Grotowski

Po ślubie...

Gdy Kowalski nazajutrz po ślubie wybierał się do biura i poprosił o śniadanie, żona odmrugnęła tylko.

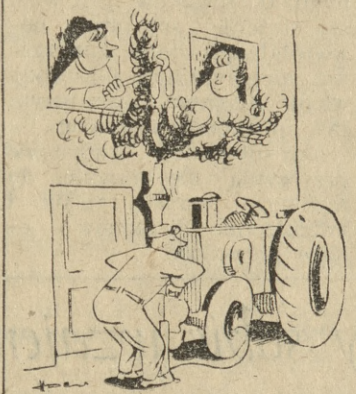
— Lokal otwiera się o godzinie dziesiątej...

Wzruszył ramionami i napomknął coś o drugim śniadaniu.

— Suchy prowiant trzeba zamawiać dzień naprzód — wyjaśniła urzędowym tonem.

Machnął ręką. Udał się do pracy, a gdy wrócił ujrzał w przedpokoju napis „Szatnia bezpłatna, obowiązkowa”. Ro

Wielu traktorzystów zatrzymuje „Ursusy” pod oknami mieszkań.



Racjonalizator z konieczności

zebrał się i wszedł do jadalni.

— Jak się masz żoneczko... — zawołał wesoło — co tam dziś na obiad?

— Jeszcze niegotowy, nie miał kto podpisać zlecenia na wydanie towaru z magazynu. Zresztą książka magazynowa jeszcze nie założona.

Wyszła do kuchni. Kowalski usiadł przy stole i czekał. Żoneczka przeszła parę razy przez pokój, a kiedy otworzył usta, aby ją o coś zapytać, uprzedziła go szybkimi i ostrymi słowami.

— To nie mój rewir... Dał za wygrana. Po tym je dnak wróciła i wyjaśniła.

— Ponieważ nie ma na razie nikogo innego, to ja obśłużę. Co ma być?

— A co jest?

— Tu jest karta...

— Świetnie, co za bogaty jadłospis, a więc niech będzie zupa pomidorowa z ryżem...

— Jeszcze niegotowa.

— A jaka jest gotowa?

— Z zup na razie nic jeszcze...

— Acha, to może być w takim razie zając z buraczkami.

— Już wyszedł.

— To sztuka mięsa...

— Za twarda...

— Rozbrał z cebulką?

— To długo potrwa...

— A co jest gotowego?

— Gulasz z ziemniakami.

— Proszę o gulasz, tylko o jakąś dobrą porcję.

— U nas nie ma protekcji...

Po pół godzinie zjawił się leszcz, zupa grochowa i kompot.

— Gulaszu już nie ma.

— Ale dlaczego wszystko naraz... ryba wystygnie nim zjem zupę.

— To raczej kompot wystygnie, ryba już i tak jest zimna...

Kowalski próbował skonsumentować leszcza.

— Bardzo źle jest przyrządzona ta ryba...

Kowalska rozgniewała się.

— Co źle, jota w jotę według receptury nr 678...

— Do chrzanu z taką recepturą...

— Chrzan nie jest wkalkulowany w cenę. Tylko sól jest wkalkulowana. Za chrzana trzeba płacić osobno.

Kowalski rozłożył się.

— Proszę książkę zażaleń.

Kowalska pobiegła do kuchni. Wróciła z zeszytem.

— Oto książka zażaleń, proszę pisać ile się tylko żywnie podoba, i tak tego nikt nie przeczyta.

Pytanie: Gdzie pracuje młoda żona?

Z końca korytarza przydreptał drobnymi kroczkami Kajetan Wypść, bezpośredni zwierzchnik Chrzaszcz. Przy stanął przed gazetką, przeczytał fraszkę raz i drugi, poczerwieniał i sfioletował na twarzy, a potem mrugnął pod nosem:

„Bezczelność! Hm, Chrzaszcz! Już ja mu pokażę kto ma bałagan!”

„O kim tu mowa?” — za-

stanawiały się panie Szczypko i Dypko, urzędniczy działu administracyjnego. — „To z pewnością nasz woźny! Sama widziałam, droga pani, jak u niego w portierni niedopałek leżał na podłodze. To o tym bałaganie tu mowa!”

Potem zabrał głos tłum innych pracowników — czytali, komentowali, snuli domysły... Wyprysk z działu ogólnego twierdził, że fraszka jest jak obszyty na Bdziulińskiego z działu technicznego. Bdziuliński odparł jednak stanowczo to twierdzenie udowadniając, że nie jest z Chrzaszczem „na ty”, więc gdyby to miało być o nim musiałby autor napisać nie „o tobie”, a „o panu”. To już raczej na Paciorka z księgowości. Faflik twierdził, że chodzi na pewno o Trąbika z finansowego. Młody Szklarski z budżetowego orzekł, że to o Ciapce, a wszystkie panny z hali maszyn gorliwie przytaknęły, bo Szklarski jest przystojny i do tego kawaler. W końcu rozpoczęły się spory i pomiędzy czytelnikami zaczęły fruwać gorące słowa: „bezczelność, skandal, szarganie dobrego imienia instytucji, brak poszanowania!... Nie wiadomo jaki sprawa wzięłaby obrót, gdyby referent Ciapko nie rzucił słów, które od razu zakończyły dyskusję.

„To przecież Chrzaszcz!” — powiedział — „Wypisz-wymaluj! Chrzaszcz o sobie napisał!”

Czytelnicy rozeszli się w spokoju, podśmiewając się głośno z nieszczyśnego Chrzaszcz.

Gdy korytarz opustoszał, wyszedł z ukrycia złamany bólem autor. Spojrzał na fraszkę, przeczytał raz jeszcze swoje arcydzieło, a potem powiół się złamany do swego pokoju. Zasiadł przy biurku i włożył kopię fraszki do nowej teczki, a na niej lekko drżąc ręką napisał: „Seweryn Chrzaszcz — Dzieła zebrane. Tom II. Utwory autobiograficzne”.

Na co Twain odpowiedział: — Proszę powiedzieć swemu panu, że nieistoty, ale mam zasadę nie wydawania poza dom mej ksiarki, jednakże jeśli zechce sobie z niej skorzystać na moim trawniku, to jest ona do jego dyspozycji o każdej porze dnia.

W kilka dni później tenże siad przysłał do Twain'a służącego z prośbą o pożyczenie kilku godzin ogrodowej kosiarki do strzyżenia trawników.

Na co Twain odpowiedział: — Proszę powiedzieć swemu panu, że nieistoty, ale mam zasadę nie wydawania poza dom mej ksiarki, jednakże jeśli zechce sobie z niej skorzystać na moim trawniku, to jest ona do jego dyspozycji o każdej porze dnia.

W kilka dni później tenże siad przysłał do Twain'a służącego z prośbą o pożyczenie kilku godzin ogrodowej kosiarki do strzyżenia trawników.

Na co Twain odpowiedział: — Proszę powiedzieć swemu panu, że nieistoty, ale mam zasadę nie wydawania poza dom mej ksiarki, jednakże jeśli zechce sobie z niej skorzystać na moim trawniku, to jest ona do jego dyspozycji o każdej porze dnia.

W kilka dni później tenże siad przysłał do Twain'a służącego z prośbą o pożyczenie kilku godzin ogrodowej kosiarki do strzyżenia trawników.

Na co Twain odpowiedział: — Proszę powiedzieć swemu panu, że nieistoty, ale mam zasadę nie wydawania poza dom mej ksiarki, jednakże jeśli zechce sobie z niej skorzystać na moim trawniku, to jest ona do jego dyspozycji o każdej porze dnia.

W kilka dni później tenże siad przysłał do Twain'a służącego z prośbą o pożyczenie kilku godzin ogrodowej kosiarki do strzyżenia trawników.

Na co Twain odpowiedział: — Proszę powiedzieć swemu panu, że nieistoty, ale mam zasadę nie wydawania poza dom mej ksiarki, jednakże jeśli zechce sobie z niej skorzystać na moim trawniku, to jest ona do jego dyspozycji o każdej porze dnia.

W kilka dni później tenże siad przysłał do Twain'a służącego z prośbą o pożyczenie kilku godzin ogrodowej kosiarki do strzyżenia trawników.

Na co Twain odpowiedział: — Proszę powiedzieć swemu panu, że nieistoty, ale mam zasadę nie wydawania poza dom mej ksiarki, jednakże jeśli zechce sobie z niej skorzystać na moim trawniku, to jest ona do jego dyspozycji o każdej porze dnia.

Wł. Scisłowski

Ryby mają głos

Na zebranie w rzecce sam Szczupak — dyrektor — przybył z mową w tece; był też Sum-inspektor.

Drobnica zebrana, ukleje i płocie, czekała od rana marznące w zimnej wodzie.

Na podium wszedł Szczupak, chrząknął, drgnęła szyba — wielka była sztuka, bardzo gruba ryba!

Przedstawił konspekty, czekał na krytykę, prosił o aspekty, sam błędy wytykał.

Wtem z rzędów ostatnich wstał niezrówny Leszcz — zmilkli wszyscy radni, salę przeszedł dreszcz,

bo Leszcz — niczym wieską odważa taką?? W swej śmiałej krytyce wymienił Szczupaka!

...że owszem, że działa — on — dalekowzroczny, lecz — w tym sprawie cała, że jest zbyt żarłoczny!

Drgnął Szczupak wstrząśnięty, wypił szklanke wody, spojrzal w tylnie rzędy, gdzie Leszcz siedział młody,

zsiadł mu skrzela, pochylił się nisko — pierzchała jedna z sielaw, uciekł z sali piskorz —

i ryknął — jak wandal, a w głosie drżał szal: „Panie Leszczu — skandal, jak pan mógł i śmiać??”

„Pan zapomnił chyba — lecz jest na to sposób! — Ze pan — jako ryba nie ma przecież głosu!!”

ANECDOTY

Na pewnym prozonym obiedzie Shav miał za sąsiadkę gdańską hrabinę, która zamęczała go ustawicznymi pytaniami. W końcu zapytała dlaczego uważa go za takiego mądrego Shava, który cały czas ze spokojem odpowiada na wszystkie pytania, tym razem ożywił się i szepnął na ucho sąsiadki:

— Mogę Pani zdradzić, hrabino, jak tego dopiąć. W tym celu wystarczy, tylko ukrywać się głupie myśli.

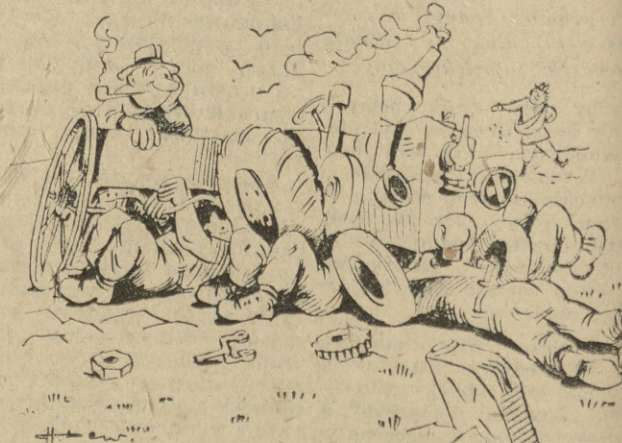
Pewnego razu bogaty sąsiad zaprosił do siebie Mark Twaina, pragnąc poszczycić się swą zasobną biblioteką. Twain napotkawszy kilka ciekawych książek, zaprzagnął je przeczytać. Zwrócił się więc do gospodarza z prośbą o ich pożyczenie. Gospodarz jednak oświadczył, iż ma zasadę niepożyczania nikomu swych książek, w drodze wyjątku — jako pisarzowi — daje mu możliwość przeczytania wybranych książek, ale tu nie ma miejsca, w bibliotece.

W kilka dni później tenże siad przysłał do Twain'a służącego z prośbą o pożyczenie kilku godzin ogrodowej kosiarki do strzyżenia trawników.

Na co Twain odpowiedział: — Proszę powiedzieć swemu panu, że nieistoty, ale mam zasadę nie wydawania poza dom mej ksiarki, jednakże jeśli zechce sobie z niej skorzystać na moim trawniku, to jest ona do jego dyspozycji o każdej porze dnia.



Kto w zimie leży...



...ten i wiosną „leży”